DZIŚ i JUTRO

ROK II. Nr. 3.
1. LUTEGO 1926



K. Laszczka — Główka Kobieca.

CENA EGZEMPLARZA 55 groszy.

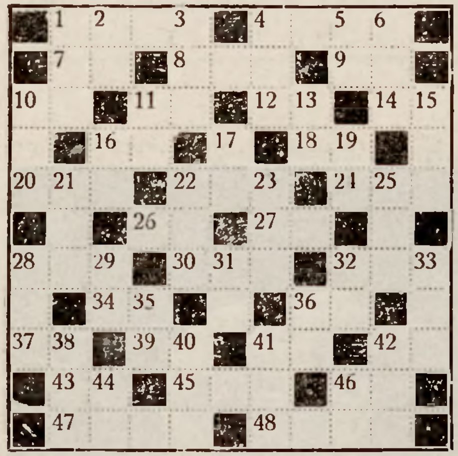
SZARADA

(ułożyła Jadźka ze Stanisławowa).

Słóweczko, a w niem są cztery literki,
Z których pierwsza, druga i trzecia,
Ptaszka śpiewającego oznacza,
Druga zaś, trzecia i czwarta,
To nie do gry karta,
Bo ta będzie czwarta, trzecia,
Ale owad z żądłem strasznem,
Nad polem lata zielonem, jasnem.
A trzecie, drugie i pierwsze,
To z tego wszystkiego najlepsze,
Bo jest i słodkie i pić można,
Ale z wiedzą mamy, bo inaczej, rzecz zdrożna.
Trzecie, czwarte i pierwsze, powiem wam w sekrecie,
Że u każdego rybaka znajdziecie,
A pierwsza, druga, trzecia i czwarta,
To broń nieznaczna, ale wspomnień warta,
Bo nią się bili Krakusi mili,
Kiedy ojczyznę wywalczyć chcieli,

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

(ułożona przez A. i G. Czosnowskie).



Wyrazy czytane poziomo:

1. Postać z „Pana Tadeusza". 4. Część świata. 7. Jezioro. 8. Współczesny poeta indyjski. 9. Kobieta. 10. Część twarzy. 11. Kwiat. 12. Część kościoła. 14. Noga u zwierząt. 16. Państwo w Europie. 18. Inaczej animusz. 20. Nazwisko króla polskiego. 22. Zasłona. 24. Dziennik. 26. Mieszkanki Parnasu. 27. Słowo z tytułu naszej gazetki. 28. Krótka opowieść. 30. Worek na pieniądze. 32. Naczelnik. 34. Skroplona para. 36. Imię cara. 37. Izba zakonna. 39. Numizmat. 41. Drugi syn Priama. 42. Dwoje. 43. Część twarzy (l. mn.). 45. Stopień uniwersytecki. 46. Ptak. 47. Statut, ustawa. 48. Patrycjusz rzymski znany ze spisku.

Wyrazy czytane pionowo:

1. Rodzaj wozu. 2. Szerokie ujście rzeki. 3. Imię żeńskie. 4. Cyrk. 5. Pokarm postny. 6. Gra kartami. 10. Stolica. 11. Dawne wielkie księstwo. 13. Wieś pod Warszawą pamiętna bitwą w 1831 r. 15. Przyrząd malarski. 16. Rośliny wodne. 17. Księga Mahometan. 19. Znak Zodyaku. 21. Historyk polski. 22. Nauka. 23. Izdebka okrętowa. 25. Przyrząd do mierzenia czasu. 28. Przyrząd krawiecki. 29. Kolor w kartach. 31. Król polski. 32. Kobierzec. 33. Męczarnia. 35. Bez nikogo (l. mn. żeńsk.). 36. Kwiat. 38. Kapłan trojański zaduszony przez węże. 40. Kraj nad Adryatykiem. 41. Msza Wigilijna. 42. Rzeka w poł. Ameryce. 44. Umyty. 45. Imię męskie arabskie.

ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK z Nr. 2.

ŁAMIGŁÓWKA KRZYŻYKOWA

S	e	r	c	e	■	M	a	p	a	■	K	o	n	g	o
e	s	e	l	g	ł	a	■	■	n	a	g	r	o	d	a
g	ł	■	s	o	a	m	n	e	s	t	y	a	■	u	l
r	e	n	■	i	j	a	s	z	a	l	a	■	E	l	a
o	r	m	u	z	d	■	z	a	■	e	t	e	r	a	z
■	■	l	a	m	a	■	y	p	■	t	e	ś	ć	■	■
R	z	e	c	■	k	a	b	a	ł	a	■	g	l	o	b
M	e	k	k	a	■	■	a	s	■	■	a	n	i	o	ł
e	g	o	■	r	ó	g	■	■	d	o	m	■	r	y	k
w	a	■	o	k	o	■	e	t	■	ł	e	b	■	O	b
a	r	e	n	a	■	G	r	a	d	■	n	a	r	ó	d
■	■	j	a	■	P	a	r	k	a	n	■	l	a	■	■

ŁAMIGŁÓWKA KRZYŻYKOWA

Z
Cl
Iść
Wójt
Egipt
Izydor
Kantony
Czesława
Intendent
Meklemburg
Małgorzatka
Antykwarjusz
DzieńZaduszny
ADAMMICKIEWICZ

ZAGADKA OBRAZKOWA

Kolędnicy noworoczni składają życzenia.

* * *

Najlepsze rozwiązanie nadesłała **Krysia G. z Krakowa** — dając obszerny opis tej uroczystości.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK II. 1. LUTEGO 1926. № 3.

SIŁA NASZA.

Mój problem brzmi tak: Czy mamy w sobie my, kobiety, coś takiego coby nadawało odrębną cechę naszej wartości duchowej? Czy możemy wnieść coś „naszego" w ogólny dorobek kulturalnego życia ludzkości? Na polu pracy naukowej, a nawet zawodowej i społecznej prześcigają nas najczęściej mężczyźni — czy jest jaki teren, albo sposób działania, w którym oni nam nie dorównają? Zdaje mi się, że jest, i to nie jeden, ale obecnie nad jednym tylko zastanówmy się.

Zdaje mi się, że taką specjalnością naszą jest wysubtelniona zdolność wczuwania się w potrzeby innych i zaradzania im siłą własną, kosztem własnych korzyści. Żyć dla drugich, dla idei, może i powinien każdy, lecz tam, gdzie człowiek szlachetny nawet, lecz niezbyt subtelny, nie będzie już miał nic do dania, tam wrażliwe, a dobre serce kobiety znajdzie obszerne pole pracy.

Wśród zajęć życia codziennego, wśród nieprzewidzianych okoliczności, wymagających szybkiej orjentacji, wśród kolizyj życia rodzinnego czy towarzyskiego, okazuje się moc tej zdolności poświęcania się. Bo znamieniem mocy i siły jest zdolność oddawania stale swych sił i pracy, wygód i przyjemności, zapominania o potrzebach własnych, a pamiętania o tem, co drugim, co ogółowi służy. — Patrzmy n. p. co dzieje się w czasie paniki. Słaby i tchórz myśli o ratunku własnym, roztrąca ludzi, by sam się wydostał. Człowiek odważny i mocny cofa się, by ochronić i przepuścić innych, a ten odruch rezerwy budzi szacunek dla siły triumfującej, nie obawiającej się zniszczenia. — W życiu potocznem słaby i próżny szuka oparcia w uznaniu i pochwałach — dzielny i rozumny nie lęka się zostać w cieniu, a zasługę własnych czynów chętnie innym odstępuje.

Zdolność poświęcania się — a więc „dawania" — jest siłą zniewalającą serca, dającą panowanie nad niemi, po zdobyciu władzy nad sercem własnem, jego niestałością, zachciankami i budzącemi się pobudkami samolubnemi. To opanowanie siebie daje wolność duchową, swobodę i pogodę myśli i radość serdeczną, a w ten sposób — dając — bierzemy, służąc — panujemy.

A gdzie pole ćwiczenia tej zdolności naszej? Chyba wszędzie, gdzie się znajdziemy: w życiu rodzinnem, szkolnem — wśród prac społecznych, zawodowych. — Doprawdy, nie jedno wielkie dzieło humanitarne, filantropijne rozwinęłoby się lepiej, gdyby prócz ofiar pieniężnych i wielkich nieraz wysiłków pracy, nie wahano się złożyć w dani małych ambicyjek, próżnostek osobistych, gdyby zawsze i wszędzie o dobru ogółu, a nie o własnej chwale pamiętano.

Tę subtelną zdolność odczuwania potrzeb otoczenia, posiadamy wrodzoną, ale

mamy też zwykłą ludzką skłonność do samolubstwa, paraliżującą szlachetne porywy. Niejedna wrażliwa, subtelna dusza odczuje głęboko niedolę bliźnich, wzruszy się szczerze, ale na czyn zebrać się nie zdoła, niby z nieśmiałości, a właściwie z ukrytego egoizmu, obawiając się nietyle straty materjalnej, co sądu ludzi, ironicznego ich uśmiechu, nieszczęsnego: „co o tem powiedzą?"...

Prąd ogólny rwie bowiem ku egoizmowi — trzeba więc mieć w tej kwestji prócz, wrażliwego odczucia — także sąd jasny i wolę silną — nie dać się obałamucić fałszywemi racjami — nie dać się sprowadzić z drogi odruchem szlachetnego, delikatnego serca wskazanej. Trzeba stale i wytrwale zwalczać egoistyczne porywy i tą usilną pracą wykuwać charakter mocny, własny, nie ulegający wpływom, lecz wpływ wywierający.

Jak dojść do tego? — Jakie sposoby pracy przedsięwziąć, by już za młodu spotęgować w sobie zdolność i siłę dawania?

Może na te pytania zechcą nasze Czytelniczki odpowiedzieć na podstawie własnych refleksyj i doświadczeń? — Wtedy z kolei dalszą odpowiedź na łamach pisemka znajdą. *N.*

MATKA BOSKA GROMNICZNA.

(Z legend P. Stachiewicza).

Noc głęboka... Śniegu morze białe dokoła...
Wilki zgłodniałe po polach wyją złowrogo,
Skradając się chyłkiem w uśpione ufnie sioła;
Zębami kłapią — za łupem włóczą się drogą!...
Z przerażenia strachem budzi się polska wioska:
Krzyk, lament, łzy, wrzawa, — dzieci słychać wołania...
Wtem opodal zagrody staje: Matka Boska
I płonącą Gromnicą swą wilki odgania!!!
I dziś wilków stada groźnie Polskę zalały,
W naród wojny walą gromy! Pod pieczę czyją
Schroni się piekłem nędzy trapiony lud cały???
Kiedy zewsząd wróg z drapieżną sięga szyją,
A głód, mór, ból, żal — by fale biją o skały —
W TOBIE NADZIEJA JEDYNA GROMNIC
MARYJO!!!

Włodzimierz Ogińczyk Godziszewski.

Fragment ze zbioru p. t. „Legjonów echa"
(Księga tęsknoty za czynem. Na tułaczce 1914—1916).

KONSTANTY LASZCZKA.

Konstanty Laszczka (urodzony 4. września 1865 r. we wsi Makowiec Duży — pow. Radzymiński) już od wczesnego dzieciństwa okazywał wybitne zdolności w kierunku rzeźby i kochając piękno, we wszystkich jego przejawach, marzył, by poświęcić wysiłki całego swego życia twardej służbie sztuki. Niestety nie miał odpowiednich warunków, by już od młodu do tego się przygotowywać pod odpowiednim kierunkiem. Dopiero jako 20-to letni młodzieniec mógł przybyć do Warszawy i tu rozpoczął studja pod kierunkiem Jana Kryńskiego. W trzy lata później, zdobywszy na konkursie pierwszą nagrodę wyjechał do Paryża, gdzie na razie wstąpił do prywatnej szkoły sztuk pięknych (Academie de Julien). — Tam zwrócił na siebie uwagę profesorów wybitnym talentem i pracowitością. W krótkim czasie przyjęty do Państwowej Szkoły Szt. P. — (Ecole Nationale et speciale des Beaux Arts) pracował pod kierun-



K. Laszczka — Główka kobieca.

kiem Falguière'a i Gérôme'a. W tym czasie brał udział w dorocznych wystawach „Société des Artistes Français" a prace jego nagrodzone medalami, zyskiwały ogólne uznanie. W 1899 r. powołany na katedrę rzeźby w krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych pracuje na tem stanowisku do dnia dzisiejszego.

Poza działalnością pedagogiczną, ze zwykłą sobie pracowitością i wytrwałością, kontynuuje działalność twórczą. Poza portretami i postaciami ludzkiemi kopjowanemi z niezwykłą spostrzegawczością z natury, tworzy niezrównane w wyrazie i formie kompozycje fantastyczne. Większa część jego pracowni — to świat baśni, świat zaklętych królewien i niezwykłych ptaków, lub strasznych potworów, małych rozmiarami, lecz olbrzymich myślą.

Laszczka to artysta-Polak, którego szkic każdy tchnie duchem polskim, a przytem to jeden z tych rzadkich artystów, których twórczość przepojona jest pierwiastkiem młodości i bezpośrednich poszukiwań wiecznie nowej prawdy.

B. Świtycz.

Ze świata baśni.



K. Laszczka „Nowoczesny panek".

Ze świata baśni.



K. Laszczka „Królewna zaklęta w żmiję".

W PRACOWNI RZEŹBIARZA.

Cicho... tych marmurowych postaci gromada
ma dar mowy tajemnej, dusza treść odgadnie,
Cicho... pozwól, niech własnym językiem zagada,
niech cię w kraj cudów wiedzie królewna ballada,
gdzie ptak zaczarowany strzeże w dzień i w nocy
cudownego pierścienia, co to pełen mocy,
zdobyty, ziszcza ludzkie, najskrytsze marzenia.

Żyd wieczny tułacz, głuchym zajęknie patosem,
„O Jehowo gdzie jesteś, Ty Boże proroków?
Lud wybrany się łamie, ścigan sumień głosem,
Jehowo, gdzie kres Twoich okrutnych wyroków?
Rozpacz przed nami czarna patrzy w głąb
[bezdniową.
Ni świątyń, ni ołtarza, Jehowo, Jehowo!"



K. Laszczka w pracowni przy pomniku Sienkiewicza.



K. Laszczka. Ze świata baśni. „Twardowski".

Cicho... może usłyszysz jak drży serca gleba,
gdy pada nań z rąk siewcy piękna zżęte ziarno,
by wzejść, dać ludzkim duszom powszedniego
[chleba.
Ziemia serc żywych czeka błyszcząc skibą czarną.
Tu, tam ziarno upada, wzejdzie, wyda plony
dziś, jutro, może za lat tysiące, miljony.

Cicho... tu się tworzenia spełnia tajemnica,
bryłą zimnego głazu wstrząsa myśl człowieka,
potężna, nieśmiertelna, twardy głaz obleka;
Oddycha pierś marmuru, tchnie życiem źrenica,
Patrzeć tylko, jak wstanie z pod rzeźbiarza dłoni
mocarz, na myśli wieków swe wyciśnie piętno,
i świat duchów się kornie mu do stóp pokłoni...

. . . .

Cicho... cicho... na chwilę wstrzymaj serca tętno.

W. D.

JEDEN Z PROBLEMÓW TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO.

...Odeszli w zaświaty i nie przemówią już do nas więcej wielcy mocarze słowa: Żeromski i Reymont. — Śmierć przedwczesna a nieubłagana wyrwała z pośród grona żyjących autora „Ludzi bezdomnych“ i twórcę „Chłopów“.

Odeszli od nas ci wielcy — ale myśli, rzucone przez nich — ideały, które w swej duszy wypiastowali i ukochali żyć będą wiecznie.

Odeszli i pogrążyli naród w żałobie — ale wszystko, co w ich twórczości było głębokiego i potężnego, gra echem w sercu każdego z nas i jak długo dźwięczeć będzie mowa polska, tak długo imiona ich przemawiać będą do serc i dusz Narodu.

„Non omnis moriar“ — oto co można powiedzieć o pracy ich i zasługach dla społeczeństwa, wśród którego żyli.

Twórczość ich odmienna — nawet krańcowo różna, więc, choć nieraz podobnym problemom dawali wyraz, rozwiązywali je różnie — oświetlali zupełnie inaczej. Wynikało to z kontrastu, zachodzącego w zasadniczem spojrzeniu na świat tych dwu wielkich pisarzy i z różnej ich oceny najistotniejszych objawów życiowych. Słusznie zauważono, że Żeromski i Reymont „to dwie wielkie, uzupełniające się wartości: pierwszy — chirurg duszy polskiej — wielki rewolucjonista, drugi: arka przymierza między dawnemi a nowemi laty“ (Jan Zahradnik: „Żeromski i Reymont wobec współczesności“ „Słowo Polskie“ grudzień Nr. 332).

Nie wdając się tu w ocenę twórczości żadnego z tych pisarzy, ani też w porównywanie ich wartości i zasług dla społeczeństwa polskiego, weźmy pod uwagę jeden z problemów, który jest tak charakterystyczny dla twórcy „Popiołów“, myśl o poświęceniu szczęścia, dobra i zadowolenia osobistego jednostk, dla idei wielkiej i wzniosłej.

Żeromski widział zarówno w społeczeństwie całem, jak i w życiu jednostek wiele czynników, które bólem przejmowały jego serce. Widział wiele ran, zadanych nam przez wrogów, bądź też przez nędzę i zło — rozumiał, odczuwał i przeżywał los wydziedziczonych, współcierpiał z cierpiącymi, z tą masą smutnych i bezdomnych. Ból targał jego sercem, bo cierpiał ze wszystkimi i za wszystkich i z najgłębszego przekonania mógł o sobie powiedzieć: „cierpię za miljony“.

To serce poety subtelne i wrażliwe nietylko na ból jednostki każdej, ale odczuwające nawet może aż nazbyt żywo — może aż do przesady ból przyrody i martwych istot — kazało mu stwarzać w swych bohaterach ludzi, którzy rozumieli ideę ofiary dla dobra wyższego — którzy, nie patrząc na ból osobisty drogą ofiary, zaparcia się siebie bezwzględnego, wyzucia się z marzeń o szczęściu własnem starali się koić cierpienie i ból innych.

Ta myśl o wyrzeczeniu się szczęścia swego, więc tego do czego wprost z natury dąży każdy człowiek, myśl o ofierze z własnego „ja“ jest potężna i zasadnicza dla twórczości Żeromskiego, a przytem najrozmaiciej w utworach wielkiego pisarza przedstawiona.

Oto dr. Judym, bohater powieści p. t. „Ludzie bezdomni“, człowiek, który wyszedł z pośród nędzy tłumu, nietylko biednego, ale wprost moralnie i materjalnie upośledzonego — żyje jedną, wielką, promienną myślą: pragnie szczęścia wydziedziczonych. Pracując jako lekarz w zakładzie kąpielowym w Cisach, myśli przedewszystkiem o tych, którzy giną w okolicy, wskutek bagien, otaczających miejscowość klimatyczną; pragnie osuszyć okolicę, nie zważając na żadne trudności, nie biorąc w rachubę ani swego dobra, ani też niekorzyści, jakieby stąd wyniknąć mogły dla poszczególnych jednostek.

Nie wygrawszy sprawy, usuwa się na inne pole działania, nie porzucając jednak myśli o pracy i poświęceniu się dla ludu. I służy tej idei stale i wiernie — służy jej bez względu na to, że i jemu życie daćby mogło choć odrobinę szczęścia i radości.

Odrzuca Joasię, która go wabi myślą o szczęściu domowem, rodzinnem, odrzuca bo boi się, by miłość dla jednej ukochanej istoty nie osłabiła w nim energji do poświęcenia się dla ogółu nie zmniejszyła zapału dla pracy społecznej.

„Nie mogę mieć ani ojca ani matki — woła — ani żadnej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością — muszę wyrzec się szczęścia, muszę być sam jeden“. — Oto hasło, któremu wierny zostaje Judym, choć łamie szczęście swoje i ukochanej osoby.

Szczęścia i dobrobytu wyrzeka się również Stasia Bozowska „sitaczką“ przez autora nazwana.

Żyje dla idei — żyje w nędzy, w zapadłym kącie, jako nauczycielka. „Dobrą była“ choć prawie nikt tego nie ocenił — a ożywiona myślami wyższemi: szerzenia kultury wśród ludu, pada ofiarą pracy i nędzy, która była jej nieodłącznym aniołem życia.

Umiera niezrozumiana i niedoceniona, rzucając swą śmiercią ponury cień w duszę doktora, który jest świadkiem ostatnich jej chwil życia — cień smutny i bolesną refleksję „że tak żyć nietylko nie można, ale i nie warto“.

A myśl to tem smutniejsza, że i on, dr. Obarecki pracował i poświęcał się niegdyś dla nędzarzy, otaczających go, pracował „z fanatyzmem, uporem, bez snu i spoczynku“ — „ufając w zwycięstwo prawdy“.

Zwycięstwo nie przyszło — i tego rodzaju rozstrzygnięcie i rozwiązanie problemu jest charakterystyczne dla koncepcji Żeromskiego.

Pada też ofiarą swoich szlachetnych marzeń kapitan Piotr Olbromski, rozumiejący godność ludzką w jednostkach upośledzonych w narodzie polskim, z jakich się składał lud prosty.

Olbromski cierpi nad poniżeniem włościan — nad ich wydziedziczeniem — i dąży wbrew opinji swoich najbliższych do ich podniesienia i uszlachetnienia — co go naraża na walkę z własnym ojcem, na odtrącenie, na życie odludka i samotnika — wreszcie na śmierć zdala od swoich, bez słowa pożegnania lub współczucia.

Bliższym od Piotra Olbromskiego jest nam inny bohater z „Popiołów“: Krzysztof Cedro, który dla umiłowanej ojczyzny poświęca się całem gorącem i szlachetnem swem sercem.

Wierząc w gwiazdę Napoleona, przynosi swej ukochanej, biednej Polsce w ofierze wszystko, co jej dać może: — swe życie i siebie samego. — Zaciągając się pod sztandar „boga wojny“ zrzeka się tytułów i marzeń rodzinnych o wielkości i jako prosty szeregowiec chce dosługiwać się w trudzie i zaparciu stopnia oficerskiego, choć mógłby był dzięki swemu pochodzeniu i bogactwu zająć odrazu wybitniejsze stanowisko.

Cedro to bohater obowiązku, co szlachetnością swą i wiarą w dobrą sprawę, dla której działa, porywa czytelnika.

Tak więc pod różną formą ta sama myśl, ta idea przewodnia występuje nieustannie w dziełach wielkiego pisarza. Ona mu świeciła przy zaraniu jego twórczości literackiej, ona wycisnęła piętno na ostatnim utworze, stworzonym ręką mistrza.

Przełęcki z dramatu p. t. „Uciekła mi przepióreczka“ — to jakby nowe, a tragiczne wcielenie myśli Judyma. Oddając się szlachetnej pracy oświatowej, urządzaniu kursów dla nauczycieli ludowych, natrafia na nieprzewidzianą przeszkodę w formie miłości Suchoniowej, żony jednego z nauczycieli. Wielki i zapalony dla pracy ideowiec, rezygnuje z osobistego działania na tem polu, nie chcąc łamać szczęścia rodzinie ludzi, u których gości.

Składa w ofierze myśl, którą wypiastował w swem sercu, poświęca swą ideę dla innej, bo widzi w tem obowiązek swój, bo tego domaga się od niego prawość charakteru i wyższość, dzięki której wyrasta ponad miarę jednostki przeciętnej.

Ta nieprzeciętność bohaterów Żeromskiego jest właśnie źródłem ich bohaterskiego zaparcia się dla idei wielkich i wzniosłych, takich jak miłość ojczyzny, troska o los wydziedziczonych — cierpiących, smutnych i upośledzonych.

A w tem zrozumieniu ofiary Żeromski posuwa się tak daleko, że pozwala bohaterowi swemu nieraz złamać się nawet moralnie — byleby triumf odniosła sama idea.

I stąd tyle pesymizmu — bohaterowie bowiem Żeromskiego bez względu na siebie, a czasem bez względu i na poszczególne jakieś jednostki, idą drogą wytkniętą. Czy z takiego druzgotania szczęścia nieraz swych najbliższych może wyróść powodzenie w pracy społecznej — na to autor nie odpowiada.

W każdym razie dobitnie zaznacza, że dążenie nieubłagane do zrealizowania wielkich pragnień, poświęcenie się dla obowiązku jest celem wielkim i realnym, któremu i życie w ofierze złożyć warto.

— — — — — — — — — — —

Wielki, szlachetny, bólem przepojony, negacją ubezwładniony, tragizmem złamany o ileż więcej mógł był zdziałać!..

Czuł i kochał za miljony, lecz „Miljonem“ nie był — zabrakło mu życiodajnych promieni ufności i wiary.

Stanisławów, 7/I 1926 r. *S. Al.*

NIEZIEMSKA IDYLLA.

Od pierwszej chwili poznania, od pierwszego wejrzenia na siebie — uczuli oboje z mocą jakiegoś nagłego, a czarownego objawienia, że szczęście znajdą li-tylko w sobie nawzajem. Pan Paweł Jarecki skłonił się przed uroczą dziewczyną, której kreolska uroda i kraśne jak jarzębina usta odbijały się tem silniej na tle jasnowłosych kuzynek i powiódł ją w tan wśród grona balowych par. Sunęli zwolna po lśniącej posadzce, pod ostremi blaskami elektrycznych świateł, obchodząc salę w półobrotach i chwilowych przystankach nowożytnego tańca, z których każdy był wyrazem plastycznego wdzięku, a zdawało się im obojgu, że otaczające ich jeszcze tak niedawno ściany — uniosły się w górę, niby na jakiejś czarodziejskiej scenie, że oni sami płyną w niebieskich przestworzach, depcąc szlak mlecznej drogi, zawadzając głowami o gwiazdy, upojeni wędrówką, łączącą ich harmonijnym rytmem.

Egzotyczna melodja ucichła nagle i poczucie rzeczywistości wróciło natychmiast do rozpoetyzowanej młodej pary. Panna Marynka Bielawska wysunęła się zgrabnie z objęć swego tancerza i uśmiechnąwszy się doń promiennie, wionęła ku stojącym nieopodal krzesłom pod ścianą, ukazując przelotnie śliczny profil garbatego noska i szlachetny zarys owalu twarzy. Panna Marynka była drobna, a nawet — lancons le mot — maleńka, ale tembardziej miła i pełna wdzięku, gdy wznosząc z musu główkę do góry, wiodła z kimśkolwiek wesołą rozmowę.

I teraz pan Paweł podążył śpiesznie za odfruwającą, wdzięczną ptaszyną (jak już w myśli ją nazywał) i usiadłszy obok niej, poddał się zupełnie urokowi niewymuszonej, przyjacielskiej gawędy. Albowiem promień prawdziwego uczucia podobnie jak promień słońca — nieci odrazu ufność w błękit bez chmur, i wybłyskuje jak djament w kamiennej skale życia.

— Jakże ci się podobał pan Paweł, Marynko? — pytały ciekawie kuzynki gdy po skończonej zabawie znalazły się już w swoim pokoju.

— Niech mi się tylko oświadczy! Posłyszycie wówczas moją odpowiedź! — odrzuciła wesoło dziewczyna, rozczesując grzebieniem długie, czarne sploty.

O tej samej, mniej więcej porze, pani Stefanowa Jarecka, pragnąca już oddawna ożenić wybrednego syna, starała się wybadać go z delikatną troskliwością:

— A może poznałeś jakąś miłą panienkę na tym wieczorze, Pawełku?

— Poznałem, mamo, pannę Marję Bielawską! I jeśli się wreszcie ożenię, to wiem napewno, że z żadną inną, tylko z tą niezrównaną ślicznotką! Twarzyczka jak świeża brzoskwinka, a humor młodego kociaka. Ręczę, że pokochałabyś ją odrazu jak córkę!

— Ja ją już kocham — rzekła radośnie matka. — Mam nadzieję, że i ona ciebie nie odrzuci? — dodała, spoglądając z dumą na męskie, rozumne oblicze syna.

* * *

Marynka Bielawska pochodziła z niezwykłego gniazda. Stary dwór małopolski, od lat wielu będący w posiadaniu jednej i tej samej rodziny, zdawał się poto być jeno wzniesionym, aby zeń miała pożytek w każdej potrzebie Rzeczpospolita polska. Jak kamień na kamieniu zbierały się tu przez wieki chwalebne czyny — jak paciorki długiego różańca przesuwały się w jego murach pracowite żywoty rodu Bielawskich, których godłem było: „Ad majorem Dei gloriam!"

Za jakąś cichą, wzajemną zgodą dwór Bielawskich wraz z przylegającym doń niewielkim szmatem uprawnej ziemi zostawał zawsze w ręku najstarszego z rodu, jakoby święte i niepodlegające rozdrabianiu gniazdo rodzinne, bezcenna pamiątka istotnych zasług społecznych zmarłych przodków i oparcie dla wszystkich żyjących krewnych. Młodsi — szli w świat, po ukończeniu studjów fachowych, zdobywali stanowiska rycerskie, jak dawniej — administracyjne, lub też handlowe, jak dziś, a życia ich prześwietlone zawsze od wewnątrz tradycyjną dewizą rodu, powiększały chwałę kolebki Bielawskich.

Dziś — właścicielem starożytnego Bielawina był ojciec panny Marynki — Łukasz Bielawski, znakomity rolnik, dla zasług swych i rozumu, marszałek powiatu, z trudem podołać mogący przyjętym na siebie obowiązkom społecznym wespół z pracą na własnej roli. Matkę — pamiętała Marynka jeno ze wspomnień dziecięcych.

Najobszerniejszy pokój w bielawińskim dworze, w pogodne dnie zalany słonecznem świa-

tłem, wysunięte na środek szerokie łóżko, a w niem beznadziejnie chora pani domu. Ileż-to razy chowały się dzieci po kątach, wyczekując długo na chwilę, gdy pielęgniarka, panna Zofja, wyjdzie z tego zamkniętego zawsze szczelnie pokoju, by na paluszkach wsunąć się wówczas do słodkiej, jedynej matuchny. Chora zwracała ku nim twarz, rozpromienioną odblaskiem matczynej miłości:

— To wy, moje najmilsze pocieszki?!... A Pimpinelka dziś ślicznie wygląda! Chodźcież tu, na moje łóżko..

Dzieci wdrapywały się mozolnie na posłanie i otaczały matkę wianuszkiem wyciągniętych ku niej rączynek i nieustającym szczebiotem:

— Kiedy już wstaniesz, mamusiu? Tak smutno bez ciebie! A wiesz — mamy cudowną kózkę! Biała jak mleko, a pyszczek różowy jak konfitury z róży! To napewno jakaś zaczarowana księżniczka!

— Musisz ją zobaczyć, matuchno! — wołała, klaszcząc w ręce Marynka. — Każ ją tu zaraz przyprowadzić i wszyscy razem zjemy u ciebie podwieczorek! Dobrze, matusiu?

Panna Zofja wbiegała do pokoju chorej, przerażona hałasem i wybuchami dziecięcego śmiechu, który już zdala dolatywał jej czujnych uszu. Stawała tuż przed łóżkiem, wzruszona do głębi tragedją, rozgrywającą się w tym pozornie pogodnym obrazie rodzinnego szczęścia.

— Panno Zofjo — mówiła pani Łukaszowa, uśmiechając się z wysiłkiem — Dzieciaki chcą mi koniecznie przedstawić swoją nową przyjaciółkę, tę nadzwyczajną kozunię! Niechże ją Hryń tu do mnie wprowadzi.

Panna Zofja w milczeniu, bez protestu szła wykonać wolę tej, mającej odlecieć niebawem w zaświaty, idealnie zacnej kobiety, a dzieci uradowane spełnieniem ich prośby, obsypywały matkę niezliczonemi pocałunkami.

— Nie męczcie mamusi — upominała je poważnie Marynka. — Pamiętacie, co tatuś nam powiedział? Nie wpuszczą nas nigdy do tego pokoju!

— Pimpinelko moja maleńka — szeptała znów chora, pieszcząc dziewczynkę. — Przyrzeknij mi, że będziesz zawsze — zawsze dobra dla tatusia! Że staniesz się jego pociechą, jego światełkiem, jego radością!

— Dobrze, matusiu! A gdzież ty wtedy będziesz? Ja i dla ciebie chcę być światełkiem!

— I ja będę z wami... Napewno będę! — zapewniała chora z cichem westchnieniem.

Śmierć matki wzbudziła w sercu Marynki zdziwienie, pełne niedowierzania. Klęczała przy jej trumnie, w czarnej sukience, obok ojca szlochającego rozpacznie. Dwaj mali braciszkowie tulili się w kącie do zamodlonej niani.

— Co to się stało? — myślała dziewczynka, wytężając swój umysł do najrozleglejszych dla siebie granic. — Tak niedawno jeszcze matusia wszystko-by nam oddała, najlepsze ciasteczka, czekoladki! — „To dla moich pieszczochów“ — tak zawsze mówiła. A sukienki, a futra, a te przecudne koronki?! — „To dla ciebie, Pimpinelko, gdy już dorosłą będziesz panienką!“ A teraz tu leży tak obojętna, taka zimna! I łzy tatusia nic a nic jej nie wzruszają! Czyż to być może?! Gdzież tamta matusia? A ta, co tu śpi wśród kwiatów, dlaczego taka dla nas nieczuła?!

Lata szły. Chłopcy pojechali do szkół, Marynkę ojciec odwiózł do pobliskiego klasztoru, mieszczącego się we wspaniałym, starożytnym zamku. Powóz minął sklepioną, potężną bramę i stanął na dziedzińcu klasztornym. Wysoki mur odgradzał ten przybytek modlitwy i pracy, od wstrząsanego namiętnościami świata. Niebotyczne korony prastarych drzew tworzyły powyżej drugą nieprzeniknioną, gęstą zasłonę, okalającą gmach klasztorny, niby welon spływający wokoło głowy oblubienicy. Pan Łukasz z Marynką weszli do małego ogródka, gdzie wśród mnogości kwiecia i róż stał posąg Najświętszej Panny. Niewidoczny wodotrysk szemrał w oddali jakiś nieustający hymn pokory. Z wnętrza starych murów niosły się czyste, natchnione tony chóralnie śpiewanej mdlitwy. Dziewczynka stanęła w zachwycie, wiodąc wzrokiem po przesuwających się w cieniu drzew, postaciach zakonnic, w białych, powłóczystych habitach. Przytuliła się do ojca, pragnąc podzielić się z nim nieziemskiem wrażeniem:

— Tatusiu! I w niebie nie może być piękniej!

Klasztor stał się drugim domem dla sieroty, którą pokochali tam wszyscy za okazywaną w każdej okoliczności „dobrą wolę“. Koleżanki przezwały ją żartobliwie „Pogodą“ wobec niezwykłego pokoju ducha, nie dającego się mącić drobnemi wydarzeniami pensjonarskiego życia.

(Dok. nast.) *Marja Dunin-Kozicka.*

— Tak dziecko moje — pokochałam cię jak własną córkę i pragnę ci dać to, cobym córce mojej dała, poważną wiedzę i przygotowanie do przyszłej pracy dla społeczeństwa.

Umilkła a Maryjka przerywać milczenia nie śmiała. Serce jej biło silnie, nie umiała sobie zdać sprawy, czy z radości, że pójdzie na uniwersytet, czy z żalu, że rozstanie się z przybraną swą matką...

— Chcę więc — mówiła pani Ptaszyńska, byś wstąpiła na uniwersytet, ale nie wcześniej jak za rok — lub za dwa. Za młodą jesteś na to, byś sama szła w świat. W Wilnie jednak, nie chcę cię zatrzymywać. Chcę, byś popracowała rok, lub dwa, jako nauczycielka prywatna. Poznasz trochę ludzi obcych, nauczysz się radzić sobie w niejednem i pogłębisz swą wiedzę, ucząc drugich.

Projekt ten zaskoczył niespodziewanie Maryjkę.

Przekonaną była, że p. Ptaszyńska weźmie ją jako nauczycielkę do swej szkoły. A tu ma wyjechać z Wilna, iść do obcego zupełnie domu.

Lęk ją ogarniał, sprzeciwiać się jednak nie śmiała, tylko posmutniały jej wesołe zawsze oczy. Dojrzała to opiekunka i tuląc jasną głowę dziewczęcia do piersi, rzekła:

— Nie myśl kochanie — że mnie łatwo przychodzi rozstanie się z tobą. Obowiązkiem jednak moim jest przysposobić cię do życia. Chcę, byś je znała i umiała z niem walczyć. Któż zgadnie wiosną co mu jesień przyniesie. Z tego odosobnienia i zamknięcia w jakiem z konieczności żyjemy w Wilnie nie mogę cię tak jeszcze młodziutką wysyłać w świat szeroki, gdzie samodzielne prowadziłabyś życie.

Zapewniła też swą wychowankę, że tylko w domu dobrze sobie znanym ją umieści.

Za powrotem do Wilna, p Ptaszyńska zajęła się wyprawą, jak mówiła Maryjki.

Jak najtroskliwsza matka myślała o wszystkiem co mogło być jej potrzebnem.

Maryjka ze zdumieniem patrzała na bieliznę ładną i porządnie uszytą. Przymierzała sukienki i dziękując za wszystko pani Ptaszyńskiej powtarzała, że tego wszystkiego będzie chyba za wiele.

Ale tamta uśmiechała się tylko i coraz to coś nowego dodawała.

— Chcę — powiedziała — żebyś nie czuła żadnego braku ani w bieliźnie, ani w ubraniu. Dotąd byłaś uczennicą, starczył ci jeden mundurek i jasna sukienka. Obecnie, jako dorosła panna powinnaś mieć wszystko w porządku.

Panna Marja również była tego zdania, że Maryjce starczyłaby połowa tych rzeczy.

— Kto wie — rzekła p. Ptaszyńska — czy będę mogła jeszcze kiedy pomyśleć o zaopatrzeniu jej. Niech więc się to odrazu zrobi.

Jeszcze szkoły nie były uruchomione i uczennice nie zjechały się, Maryjka korzystała z tego spędzając całe dni w towarzystwie pani Ptaszyńskiej. Rozmawiały ze sobą o wszystkiem, co je zajmowało, tworzyły plany przyszłej wspólnej pracy. Przełożona powtarzała, że po powrocie Maryjki z uniwersytetu, jej odda całe nauczanie. Sama będzie tylko czuwała nad całością szkoły.

— Kto wie — rzekła pewnego dnia — czy nie będziesz pracowała w wolnej polskiej szkole, pięć, sześć lat, mogą wiele zmian przynieść.

— Pani droga — zawołała Maryjka — czyżby to mogło być?

— W ręku Bożem są losy narodów — szepnęła p. Ptaszyńska. Wierzę niezmiennie w Zmartwychwstanie Polski. Trwać nam tylko należy, pracować i wytrwać...

Miłe te chwile, które później Maryjka nieraz sobie miała przypomnieć, zakłócone zostały przy końcu, niespodziewanem zjawieniem się gości z głębi Rosji.

Pani Ptaszyńska miała starszą siostrę, która wyszła zamąż do Petersburga i tam całe życie spędziła. Nie żyła już oddawna, a jedyna jej córka, jeszcze za życia rodziców, bo i szwagier umarł przed paru laty, wyszła zamąż za pana Tomiłowicza, urzędnika gdzieś znowu w środkowej Rosji. Owdowiała przed kilku miesiącami i teraz zabrawszy dwoje dzieci, zjechała do kochanej cioci.

Pan Tomiłowicz funduszu żadnego nie pozostawił, emerytury nie wysłużył, bo zaledwo kilka lat był urzędnikiem. Po rodzicach, młoda pani miała zaledwo kilka tysięcy rubli, a trzeba było i samej przeżyć i dzieci wychować.

Pani Ptaszyńska rozumiała, że przywykłej do niezależności kobiecie, ciężko byłoby nie czuć się u siebie. Wynajęła więc w pobliżu swego domu małe mieszkanko dla siostrzenicy i urządziła je dla niej. Ułożonem też zostało przez obie panie, że p. Tomiłowiczowa będzie dawała w zakładzie ciotki lekcje języka francuskiego, Kostuś pójdzie do gimnazjum, a dziesięcioletnia Niusia będzie się uczyła na pensji u p. Ptaszyńskiej.

Pani Aleksandra nie mogła uspokoić się nad dobrocią ciotki. Zapewniała, że tak ona, jak i jej dzieci wdzięcznemi jej będą do śmierci.

Poraz pierwszy w życiu Maryjka uczuła pewną zazdrość, patrząc, jak nieznana dotąd niemal kobieta, staje się pierwszą w tym domu, w którym ona przywykła czuć się dzieckiem ukochanem.

Pani Tomiłowiczowa starała się odgadnąć każdą myśl ciotki, usługiwała jej w czem tylko mogła i wyręczała w zajęciach domowych. Bardzo zręczna, obyta ze światem, towarzysko wyrobiona, szybko orjentowała się w każdej sytuacji i umiała zdobywać sobie ludzi.

Z Maryjką, którą jej ciotka przedstawiła jako przybraną córkę, była bardzo ujmująco grzeczną, pilnie jednak śledziła jej stosunek do ciotki.

Maryjka nie umiała zdać sobie sprawy dlaczego tej uprzejmej, miłej kobiety nie lubi. Dotąd kochała wszystko i wszystkich, których lubiła przełożona, a do tej wytwornej i miłej pani nie czuła najmniejszej sympatji.

Wstrętne to, powtarzała sobie w duchu, bo innego powodu nie mam nielubienia jej, jak zazdrość. A przecież ona tu rzeczywiście powinna być pierwszą, nie ja, obca, bezdomna sierota, którą z łaski przyjęto Ale nie lubię jej za to, że gdy stąd muszę odejść, ona moje miejsce zajmie.

Nadeszła wkońcu chwila rozstania.

Maryjka dostała posadę nauczycielki w domu państwa Szyrynów, gdzieś ponad Dzisną. Z przyjemnością myślała, że zobaczy swą rodzinną rzekę. Już zupełnie pozbawioną była wieści z domu. Pani Podbielska umarła, a dawny ksiądz proboszcz z Potocka wyjechał. Pani Brzeska donosząc jej o tem, pisała, że obaj jej bracia są w Rydze, mieszkają na niemieckiej stancji i chodzą do gimnazjum niemieckiego.

Były to jedyne wicśei o rodzinie.

Pani Szyrynowa była jak najlepiej poleconą p. Ptaszyńskiej, żegnała więc spokojnie swoją wychowankę, a widząc na dworcu kolei, jak walczy ze sobą by nie wybuchnąć płaczem, uścisnęła ją serdecznie i szepnęła krótko:

— Bądź mężną! —

Powstrzymała więc łzy biedaczka, stłumiła duszące ją łkanie i spokojnie weszła do wagonu. Zadźwięczał dzwonek, gwizdnęła lokomotywa i rozpoczęło się nowe życie. Wszystko co ukochała, z czem się zżyła przez lat tyle zostało gdzieś w oddali.

Podróż przeszła przyjemnie.

Pani Szyrynowa była miłą, serdeczną i bardzo szczerą kobietą. Rozumiała smutek dziewczyny, rozstającej się poraz pierwszy z ukochanemi i szanując go, starała się rozerwać Maryjkę. Opowiadała jej o swych dzieciach Hali i Jadzi dziesięcioletnich siostrach bliźniaczkach, przyszłych uczennicach i o dwunastoletnim Józiu, z którym często nie może sobie poradzić p. Hurowicz, nauczyciel.

— Chłopak żywy jak iskra, nie umie wprost usiedzieć na miejscu — mówiła — zdolny bardzo, ale woli płatać figle niż uczyć się.

Kilkanaście wiorst trzeba było jechać końmi, ale powóz był wygodny, a konie pędziły z wichrem. Maryjka ucieszona była takiem zakończeniem podróży.

Dowiedziała się w dalszym ciągu, że państwo Szyrynowie, również jak i okoliczne ziemiaństwo polskie, wytknęło sobie cel jasny, trwać na rodzinnym zagonie, utrzymać tę ziemię świętą i przekazać ją dzieciom.

— Dziś — mówiła pani Zofja — to nasz jedyny obowiązek, żadnych powstań, żadnej walki orężnej, w której z konieczności padlibyśmy zwyciężeni i kraj jeszcze więcej by ucierpiał. Dzieciom musimy dać realne wychowanie, bez mrzonek i egzaltacji. Muszą być ludźmi trzeźwymi.

Słuchając tych słów Maryjka, porównywała je z temi zasadami, w których była wychowaną w Wilnie.

Jakaż tu różnica, jaka rozbieżność w przekonaniach. Myślała też, że ciężko jej będzie w Pawiomiszcze jej, która do „trzeźwych" nie należała.

(C. d. n.). *Marja Reuttówna.*

KU CZCI MARJI.

Biel... zasypane wąwozy, rzeki,
A jak ta ziemia, kraj ten daleki,
Płyną płomyki przez białe światy,
To wieś tam kędyś w śniegi spowita
Czcią dla Marji wiarą oddycha
To wnosi świętość wieś pracowita
Niebo do chaty.

I ty dzieweczko, ty, której dano
Widzieć tę ziemię swoją, kochaną,
Dziś w takiej bieli, tak bliską nieba
Cząstką jej jesteś. Nietylko kwiatem
Subtelnej woni, serc poematem
Stawać się tobie... gwoli ochoty
Z jutra snuć przędzy tarczę, krąg złoty,
Ale być czynem, dla niej żyć trzeba!

Czynu zadatkiem, dłoń podaj szczerze
Tej wsi wierzącej
I miłującej.
W czci gotowości
Wierna tradycji, w gorącej wierze,
Ze wsią pospołu, jak wieś najprościej,
Zapal gromnicę, wnieś ją w swe progi,
Jak w próg chatynki niskiej, ubogiej
Płomieniem czystym hartownej stali,
Niechaj tam płonie, niech się tam pali!
Niebo wsi polskiej, wiedź dalej, dalej...

J. P.



W. Grabowski — W dzień Matki Boskiej Gromnicznej.

ZWYCZAJE ZAPUSTNE W DAWNEJ POLSCE.

Zapusty, t. j. czas karnawałowy, były w Polsce, tak samo, jak i u innych narodów, dorocznym okresem najbujniejszej, najbardziej kipiącej wesołości. Kuligi, zebrania taneczne, uczty obfite, zbyt obfite nawet nieraz, trwały u nas do wstępnej, czyli popielcowej środy. Potem cichło wszystko. Głowy, szarym popiołem w kościele posypane, trzeźwiały potrosze. Wielki Post skłaniał do poważniejszych rozmyślań.

Ulubionym zwyczajem ludowym było w okresie zapustnym chodzenie z turem. Gromadka młodych parobków, z których jeden był dość fantastycznie, zresztą za tura przebrany, obchodziła domy, zbierając podarki i pieniądze.

„Mięsopustnego tura dzieci się strachają“, mówi nam A. M. Fredro, znany pisarz i zbieracz przysłowi polskich w XVII wieku i ma słuszność, gdyż tak potworna maszkara i dziśby jeszcze przerazić mogła niejedno dziecko.

Zwyczaj chodzenia z turem, czyli z turońkiem przetrwał w Krakowskiem długie lata. K. W. Wójcicki, pisarz z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, opisuje nam dokładnie to przebranie: „Dwóch parobków — mówi on — trzyma trzeciego na powrozie przebranego za tura. Głowa, na to umyślnie z drzewa zrobiona, może się zapomocą rąk otwierać i zamykać; w paszczy język z czerwonego sukna, pod szczęką zaś gęsta, kosmata broda, a na niej dzwoneczek mały. Muzyka złożona ze skrzypiec i basetli, przygrywa, tur się wydziera, kłapie paszczęką i rozmaite płata figle“.

Ulubioną zabawą szlacheckich dworów, były tak zwane szlichtady i kuligi, czyli wycieczki ze dworu do dworu, zakończone tańcami. Rozpoczynały się one zwykle od tego, że kilku sąsiadów zmówiwszy się ze sobą, zabierali żony, doroślejsze córki i synów, czeladź, gości nawet, o ile się takowi wtenczas u nich znajdowali. I tak, małe tylko dzieci pod opieką ochmistrzyni w domu zostawiwszy, ładowała się cała ta rozbawiona gromada na sanie, lub gdy sanny nie było, na kolasy, karety, a czasem, wedle stanu, i na proste wózki. Młodzież dosiadała koni wierzchowych i ruszano wesoło do kogo z bliskich znajomych lub przyjaciół, zgoła go o tym najeździe nie uprzedzając.

Tak zaskoczonemu gospodarzowi kazano dawać sobie suto jeść i pić. Nakaz ten nie był zresztą zbyt przykry; kuligi bowiem witano prawie zawsze chętnie i chyba tylko niezwykle skąpi gospodarze, mieli ochotę kryć się przed nieproszonymi gośćmi.

Po dokładnem wypróżnieniu śpiżarni, po opustoszeniu piwnicy, ruszano dalej, zabierając ze sobą „objedzonego“ doszczętnie pana domu. W ten sposób zabawa przeciągała się. W drodze nieraz huknęły fuzje i trzeba było bronić się przed wilkami, które gromadami całemi snuły się po wsi polskiej. Nie przeszkadzało to jednak kuligowi, który trwał nieraz bardzo długo, gdyż, według obyczaju, powinien był, objechawszy okolicę, wrócić tam, skąd wyjechał.

Tę ulubioną przejażdżkę zimową, krócej nieco niż zwykle, lecz z wielką wspaniałością, odbyto w dniu 21 stycznia 1695 r. w Warszawie.

Osoby zaproszone zjechały się, jak nam o tem pisze „Kurjer Warszawski“ z 1827 r., przed pałacem Daniłowiczowskim, tam, gdzie później mieściła się bibljoteka Załuskich. Przy odgłosach trębaczy ruszył o trzeciej popołudniu orszak cały w następującym porządku:

Najpierw jechało dwudziestuczterech Tatarów konnych ze służby królewicza Jakóba Sobieskiego. Potem szło dziesięcioro sani, jedne za drugiemi. Do każdych było zaprzężone po cztery konie szydłem. Na każdych sankach jechała inna orkiestra, więc żydowska z cymbałami, ukraińska z teorbanami, potem trębacze, janczarska kapela i t. d. Za muzyką sunęły sanie bogato perskiemi dywanami okryte, a w nich jechali uczestnicy kuligu. Starszyźnie i damom towarzyszyła młodzież na koniach.

Cały ten orszak aż mienił się od barwnych strojów i kosztownych futer. Powszechną zaś uwagę zwracały ostatnie sanie. Miały one kształt Pegaza. Jadący zaś na nich młodzieńcy rozrzucali wiersze, ułożone okolicznościowo przez współczesnych poetów: Ustrzyckiego i Chróścińskiego.

Kulig zajechał najpierw do dworca książąt Sapiehów, potem do księżny Radziwiłłowej, do wojewody Potockiego i tak jechał dalej i dalej, aż do Ujazdowa. Gdzie tylko goście przybyli, tam im wnet gospodarz i gospodyni oddawali klucze od piwnicy i śpiżarni. Kapela grała, tańczono czas jakiś i ruszano w dalszą drogę. Ostatecznym celem kuligu był Wilanów, gdzie król Jan i królowa Marysieńka wdzięcznie ten najazd przyjęli. Zabawa trwała do późnej nocy, a cały orszak wracał do Warszawy przy blasku ośmiuset pochodni.

*
* *

Niesłychanie wesołe zapusty wyprawiał Kraków. W Tłusty czwartek, czyli w tak zwany „C o m b e r“, otyłe przekupki krakowskie urządzały na Rynku huczną zabawę. W dniu tym roił się on od rozochoconych tłumów, które przysłuchiwały się rade muzyce i chętny brały udział w tańcach i pląsach, gdzie rej wodziły królujące przy straganach jejmoście.

Damom tym, poprzebieranym bardzo śmiesznie za strojne panie, z włosami naśladującemi loki na głowach, wszystko w dniu tym było wolno, a przodowała wśród nich jakaś nieznana dziś bliżej „mądra Maryna“, której wesołe śpiewki słynęły z dowcipu.

Rozochocone kumoszki nie przepuszczały nikomu. Jadących zmuszały do wychodzenia z powozów, pieszych zatrzymywały i kto im się datkiem nie wykupił, tego porywały w tańce, wołając głośno „comber“! „comber“! Znany zbieracz narodowych pamiątek i etnograf, Zygmunt Gloger, przypomina, że niefortunną przygodę z podpitemi kumoszkami miał poeta i tłumacz z czasów Stanisławowskich, Jacek Przybylski. Skąpy on był i nie

mógł się zdobyć na żaden datek. Więc też wesołe przekupki zmusiły go do przetańczenia z niemi kilku ulic i dopiero na pół żywego ze zmęczenia, puściły do domu.

Tak to bawiono się w zapusty w dawnej Polsce.

Marja Dynowska.

ZE ŚWIATA.

Fałszerstwa franków na Węgrzech. Na Węgrzech wykryto bardzo nie miłą sprawę, otóż cały szereg wybitnych osobistości zajmował się fałszowaniem banknotów francuskich, rzekomo by uzyskać pieniądze na akcję monarchistyczną. Główną sprężyną tej niecnej roboty był książe Windischgretz a prócz niego też wielu wysokich urzędników. Winnych zaaresztowano i śledztwo energicznie jest prowadzone; różne mogą być zapatrywania polityczne, lecz żadnych nie wolno przeprowadzać sposobami uczciwemi, i żadnej sprawy bronić nieuczciwością, ani też, jak teraz często niestety się zdarza, kłamstwem.

Nowy Gabinet w Niemczech. W Niemczech utworzył się nowy Gabinet, pod powtórnem przewodnictwem Dr. Luthra, gabinet ten ma słabe w Parlamencie oparcie więc żywot jego długi może nie będzie.

Książe Karol rumuński zrzekł się praw do tronu. — Parlament uchwalił przyjęcie rezygnacji na rzecz jego syna, księcia Michała.

Polski Bilans handlowy. Bilans nasz handlowy bardzo się poprawił, bo wywóz przewyższył przywóz; w związku z tem i dolar przestał iść w górę.

Ingres Księcia Metropolity Sapiehy. Dnia 17 stycznia odbył się w katedrze Wawelskiej, Ingres Księcia Metropolity Sapiehy. Djecezja Krakowska została przez Stolicę Apostolską podniesiona do godności Metropolji, a Książę Biskup Sapieha zamianowany arcybiskupem. Tłumy ludzi zaległy górę wawelską; koło Smoczej Jamy ustawiły się cechy i delegacje, by powitać ukochanego przez wszystkich Ksiscia Biskupa, który za chwil parę ma otrzymać z rąk księdza Biskupa Wałęgi paliusz arcybiskupi. Po cichej mszy św. odprawiowej przez Księdza Biskupa Wałęgę, ks. Rektor Rospond odczytał treść bulli papieskiej ustanawiającej metropolję krakowską, naoko ołtarza stanęło pięciu biskupów sufraganów nowej archidjecezji a najstarszy z nich, ks. Biskup Wałęga przyjął przysięgę i wysłuchał Credo nowego Metropolity, następnie włożył mu paljusz, to jest pas z wełny, znaczony czarnemi krzyżami. Po dokonanej ceremonji Książe Metropolita rozpoczął pontyfikalną mszę św. ubrany w wspaniałe szaty i mitrę staroświecką gotycką, zadzwonił Zygmunt nowemu Arcybiskupowi, a z serc wszystkich zebranych szła do Boga gorąca prośba o błogosławieństwo temu, którego słusznie nazywają wielkiem Jałmużnikiem, Ojcem biednych i opuszczonych, do którego na wzór pierwszych czasów chrześcijańskich ma dostęp każdy, który pomocy moralnej czy materjalnej potrzebuje. Wspaniałe kazanie w czasie mszy św. wypowiedział ks. Kanonik Ślepicki, wzywając zebranych, aby przy swym Arcypasterzu stali, w posłuszeństwie i miłości. Po skończonych nabożeństwach składały gratulacje w zakrystji Księciu Metropolicie, władze, magistrat i wojskowość, a następnie w pałacu delegacje wszystkich katolickich organizacyj.

Śmierć dziecka w Żłóbku. W Żłóbku Dzieciątka Jezus na ulicy Krowoderskiej umierało czteroletnie dziecko na zapalenie płuc, ale umierało tak dziwnie słodko i pogodnie, że kto śmierć tę widział, nie zapomni jej nigdy. Umierało przytomnie wołając tych co znało, żegnając się niejako z niemi i powtarzając wciąż bez ustanku szeptem, nie umiejąc jeszcze nawet dobrze wymawiać słowa, których znaczenie jednak zrozumiało może lepiej, niż nie jeden ze starszych: „przyjdź Panie Jezusku, przyjdź Panie Jezusku, ja idę". I tak bez jęku, bez skargi, bez łzy nawet, zupełnie przytomnie wyciągając rączyny do Jezusa, szła ta sierotka do Tego, który za życia swego ziemskiego, mówił: „dozwólcie dziateczkom przyjść do mnie". Śmierć tej dzieciny nie miała w sobie nic z grozy, to było przejście do życia lepszego dziecka, które nie umiało grzeszyć, ale umiało kochać.

Wytrwała pątniczka. Z pielgrzymką do Rzymu, przybyła Marokanka z trojgiem dzieci. Z Tetuanu przywędrowała pieszo do Centy, tu wsiadła na okręt i dojechała do hiszpańskiego portu Cartagene i pieszo przeszła przez Hiszpanję, Francję i Włochy do Rzymu. Była w drodze 5 miesięcy; chłopiec 16-letni szedł obok matki, a dwoje najmłodszych, ta zadziwiająca kobieta, niosła na rękach z Afryki aż do przedsionka Watykanu.

Róża Łubieńska.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Jeżeli chcesz poznać, młodzieży droga, wartość własnego państwa, trud jego odbudowy, wysiłki podjęte dla ujednostajnienia ustawodawstwa, unormowania stosunków gospodarskich i finansowych, przeczytaj książką prof. **Kutrzeby „Polska Współczesna"**. (Kraków, 1926, Tow. szk. lud.). W sześciu rozprawach wskazuje autor na bezcenne wartości jakie nam daje posiadanie niezawisłego państwa, ostrzega przed nieproduktywnym pesymizmem, uzasadniając na podstawie ścisłych danych i cyfr twierdzenie, że potrafimy sprostać ciężkim zadaniom odrodzenia ojczyzny. Tym którzy nas krytykują śmiało stawia pytanie: „Czy mogą zaręczyć, że inny naród, budując państwo w takich niesłychanie trudnych warunkach politycznych, w kraju tak zniszczonym, przy braku odpowiedniej ilości sił kwalifikowanych,

zdołałby w tym samym czasie więcej zrobić?“ Nie poprzestając jednak na słowach otuchy, apeluje autor do sumienia ogółu, by osiągnięte rezultaty nie usypiały jego baczności. Praca jednostek jest nieraz zdumiewająca, ale praca ogółu jeszcze niedostateczna, wszyscy bez wyjątku powinniśmy poczuwać się do obowiązku pracy wydatnej tak, abyśmy dojść mogli „do maximum sił państwowych i gospodarczych na jakie pozwalają zasoby nasze materjalne i duchowe“. *M. C.*

„Radość życia dziatwy polskiej“. (Warszawa, Krak. Przedmieście 34, zł. 2·40 rocznie). Nowy miesięcznik dla dzieci do lat 10—12; każdy numer opracowuje jeden temat, pierwszy mówił o Matce, drugi o Ojcu, trzeci będzie o Rodzeństwie. Dzieci współpracują swemi wypracowaniami i listami na skreślony temat. Całe pisemko przenika duch miłości, opartej na zrozumieniu dziecka i jego stosunków. Szczęść Boże! tej ślicznej „Radości“!

Rome: „Revue mensuelle illustrée“, (Paris VIII 5 rne Bayard. Maison Bonne Presse 8 fr.) — daje obraz życia katolickiego, jakie rozchodzi się ze stolicy świata. Opowiada o nowych świętych, o dziełach Kościołach, o nowych przepisach, wydanych w Watykanie. Miesięcznik ten jest pięknie illustrowany i stanowi za każdym razem jakoby zaczerpnięcie powietrza z szerokiego pięknego świata.

Guy de Fontgallano: „Une Ame d' Enfant“. (1913—1925. Bonne Presse Paris VI 5 rue Bayard). Jest to życiorys dwunastoletniego chłopczyka, zmarłego 1925 r. w warunkach niezwykłych. Lata spędzone na świecie, odznaczają się czemś, czego nie mają na ogół inne dzieci: pobożność, powaga, mądrość, któraby i dorosłych zawstydziła... ślicznie się to czyta. Mamy nadzieję, że wkrótce ukaże się coś podobnego — **o polskiem** dziecku... Książeczka powyższa jest miłym przyczynkjem do życiorysów dzieci, o których Pius X mówił, że „będą między niemi Święci“ — przez codzienną Komunję św., której im tak hojnie użyczył.., *K. B.*

OD REDAKCJI.

Tarnowianko, tak to lubię! — „Jeżeli praca moja nie nada się do druku, to postaram się coś lepszego napisać“. — O to właśnie chodzi! — Wszak uczycie się i z każdym dniem więcej umiecie, więc ufam, że każda Wasza praca następna lepsza jest od poprzedniej i żadna z was nie traci na tem, jeżeli nie tę pierwszą, lecz tę późniejszą drukujemy. Chodzi tylko o to, by nie zrażać się, lecz wytrwale choć powoli zdążać do obranego celu. Twój obrazek milutki, aie w stylu są braki, które z pewnością w dalszych pracach pokryjesz. Szkoda więc byłoby teraz światu je pokazywać. — Czy opisane zdarzenie wysnułaś z fantazji, czy z życia wzięłaś? — Podobne fakty miały niedawno miejsce w jednem męskiem gimnazjum. Dobry pobożny chłopczyna swą siłą moralną opanowywał znacznie starszych od siebie kolegów-urwisów, doprowadzał ich do modlitwy i do św. Sakramentów. — Bóg pomaga dobrym usiłowaniom, więc każdy choćby najmłodszy wiele zdziałać może, jeżeli szczerze **chce.**

Antosiu C. z Poznania. List twój przyszedł zapóźno więc milutkiego opisu uroczystości 8-go grudnia drukować nie możemy. Ufam, że dzielna Wielkopolanka nie mniej posiada wytrwałości od Tarnowianki, więc nie zrazi się tą odpowiedzią i wkrótce coś jeszcze lepszego nadeśle. Bo wszak „zrażać się“ umieją tylko małe dusze — wielkie i dzielne lubią „brać przeszkody“. W życiu to jeszcze zaszczytniejsze niż w sporcie.

Anielko, nadsyłane do redakcji opisy uroczystości szkolnych, sprawozdania z pracy w kółkach i t. p. jako prawdziwe świadectwa życia szkoły, powinny być prawdziwem nazwiskiem podpisywane; utwory literackie z fantazji, z własnego serca wysnute można podpisywać pseudonimami, ale redakcja znać musi prawdziwe nazwiska autorki, jej wiek i adres, szkoły i klasę do której uczęszcza. Przysyłają nam swe prace uczennice wszystkich klas i różnego wieku. Przejrzyj starannie zeszłoroczne numera naszego pisemka, znajdziesz tam czwartoklasistkę! Twój wierszyk milutki, ale nie na czasie, więc poczeka albo na odpowiednią chwilę, albo na zastępcę, jakiego mu może wkrótce nadeślesz. — Wszak i Kresy nasze z wytrwałości słyną — prawda?

Renetko, bardzo podoba mi się twój projekt zorganizowania systematycznego zbierania prenumeraty na „Dziś i Jutro“. — Dzielnie a delikatnie, a przytem wytrwale, to sekret powodzenia wielu spraw.

Normo, czy domyśliłaś się, co było odpowiedzią na twój milutki liścik? — Czyś z tego zadowolona? — Jeśli nie — to listownie odpowiem obszerniej.

Ado ze Stanisławowa, Twój artykuł o Żeromskim jest dowodem rzetelnej pracy i wielkiego oczytania, jak na uczennicę IV kursu sem. — Nie mogłam go jednak zmieścić w całości, a obcinać nie chciałam, dałam więc tym razem pierwszeństwo innej pracy o tem pisarzu, którą pewno z zajęciem przeczytasz. Napisz mi, czy ci się podoba, czy się zgadzasz z zapatrywaniami autora? — Takie odpowiedzi na artykuły podawane w pisemku bardzo chętnie drukować będziemy.

Wisiu, tylko krótkiego „nie“ bez „pociechy“ obawiasz się — prawda? — a ponieważ jesteś dzielną kresowianką i pilną czytelniczką „Dziś i Jutro“, każdy numer dokładnie czytasz, więc zapewne nim doszłaś do tych wierszy już znalazłaś i pociechę i zachętę. Podane tematy mogą służyć do ładnych artykulików tem cenniejszych im bardziej rzeczowych „prawdziwych“. Masz o czem pisać, więc pisz i przysyłaj — wszystko chętnie czytam. Czy „Łzę“ wydrukujemy? nie wiem jeszcze, zależeć to będzie po części od ciebie, bo może wkrótce coś lepszego nadeślesz.

Wróbelku, cieszę się bardzo ze zmiany pseudonimu, a jeszcze więcej ze zmiany usposobienia. Za

nadany mi tytuł wcale się nie gniewam, bo zgadłaś, to szczera prawda. Kocham wszystkie dziewczątka i duże i małe, ale „słabość“ mam do podlotków — bo wśród nich właśnie zachodzą najczęściej zmiany o jakich piszesz, a to otuchy dodaje, że choć ciężko i źle czasem na świecie — będzie przecież dobrze, skoro mądre i dzielne kobiety mieć będziemy.

* * *

Innym Czytelniczkom dla braku miejsca odpowiem w numerze następnym.

ROBOTY RĘCZNE.



Wzór do haftu:

Róg chusteczki

rys. St. H.

PORADNIK GOSPODARCZY.

Chrust (Faworki). 4 cale jaja, 4 żółtka ubić dobrze z łyżką cukru, w te jaja w gnieść $1^1/_2$ funta mąki, dodając łyżkę masła i kieliszek araku. Rozwałkować, krajać zębatem kółkiem w paski, rozkrajane w środku zgrabnie przewinąć i **natychmiast** smażyć na gorącym smalcu. — Wyjąwszy ze smalcu posypać cukrem z waniliją póki gorące.

Obwarzaneczki. 3 żółtka, 2 łyżki świeżego masła, 3 łyżki kwaśnej śmietany 1 dkg. drożdży, a mąki tyle tylko, by ciasto było wolne jak na pierogi, ugnieść starannie w zimnem miejscu, wyrobić obwarzaneczki, posmarować żółtkiem, posypać cukrem zmieszanym z siekanemi migdałami i piec w ciepłym piecu.

PRZYJACIELSKIE GAWĘDY.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli Czytelniczek. Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań wyłuszczanych mogą tu głos zabierać. Redakcja wypowie się na końcu).

10. Promień do Arewax 3. Jestem tego zdania, że uczęszczając do szkoły i ucząc się pilnie można jeszcze pracą społeczną się zająć. Trzeba tylko ułożyć **plan działania z dnia na dzień, na godziny rozłożony.** Należę do Sekcji Samarytańskiej Sodalicji Marjańskiej. Na zebraniach radzimy nad polepszeniem doli biedaków. Z małych naszych składek czerpiemy dochody na kupowanie żywności, którą rozdajemy biednym rodzinom, któremi się opiekujemy. To wcale dużo czasu nie zabiera. Jeżeli u was niema Sodalicji, to może moglybyście założyć chociaż jakieś Stowarzyszenie Miłosierdzia lub coś podobnego.

11. Renetka do czytelniczek „Dz. i J.“. — Czy lubicie to nasze pisemko? — Co wam się najwięcej podoba? — Ja lubię je, bo jest takie swojskie i miluchne, zawiera wiele ciekawych i pouczających artykułów — i zajmujące powiastki.

Lubię rozwiązywać łamigłówki i cieszę się, że możemy w niem drukować nasze prace. Bardzo mi się podobają utwory „Podolanki“. — Chciałabym żeby „Dziś i Jutro“ znane było wszystkim polskim dziewczynkom — żeby go nie brakło w żadnem naszem mieście.

12. Rzodkiewka do Wuki 9. Kwitnięcie narcyzów w doniczkach można przyśpieszyć przez t. z. pędzenie. W tym celu, przykrywamy małe jeszcze roślinki szklanką, a większe odpowiednim słoikiem i ustawiamy w bardzo ciepłem miejscu pokoju, n. p. koło pieca. Trzy razy dziennie odkrywa się rośliny na kilka minut, a ziemię, w miarę wysychania zwilża wodą. Gdy pokażą się już pączki kwiatowe, wystawiamy narcyzy na światło i podlewamy rozcieńczoną gnojówką. W nagrodę za te starania otrzymamy kwiaty o wiele większe i piękniejsze niż zwykle.

A czy Wuka wie, że narcyzy, które mieliśmy przez zimę w doniczkach, można znowu z wiosną posadzić w ogrodzie, a posłuszne kwiatki będą kwitły po raz drugi?

13. Wykrzyknik do Je-ma-jo 4. Podzielam w zupełności Twoje zdanie, bo uważam, że więcej powinnyśmy dbać o to, coby nas podnieść i uszlachetnić mogło, niż o suknie, które przecież nie dają świadectwa o wartości człowieka. Myślę, że suknia skromna nie powinna nas krępować w towarzystwie strojnem i unikać takiego towarzystwa niema potrzeby, bo sukienka skromna, nikomu ujmy nie przynosi. — Zdaje mi się, że prędzej zbytnie zamiłowanie strojenia się, może być wynikiem „niemądrej miłości własnej“ i próżności. — Mojem zdaniem mądrzej byłoby, zamiast na stroje, wydawać pieniądze na jakieś cele szlachetniejsze, które przynieść mogu ulgą i korzyść biedniejszym rodakom naszym, a tem samem i Ojczyźnie. — I sądzę, że wtedy można zjednać sobie większą cześć i większy szacunek, niż strojąc się w „paradne“ sukienki.

14. „Wykrzyknik“ do Czytelniczek. — Jak sądzicie, czy pisanie dzienniczka jest rzeczą mądrą? I czy pisanie tegoż sprawia Wam przyjemność? Ja myślę, że to jest bardzo mądry wynalazek. Są natury takie, które muszą przed kimś wypowiedzieć

wszysto, co czują, a nie mogąc znaleść tego kogoś, wszystkie swoje myśli i uczucia przelewają na papier i to im przynosi ulgę. Nie wiem, czy jest taka między Czytelniczkami, którаby nie pragnęła przyjaźni, ale takiej szczerej, serdecznej, jak to mówią „na śmierć i życie", a przecież o to tak trudno. Przynajmniej mnie się tak zdaje, nie wiem, jakie jest wasze w tej sprawie zdanie. Mówię, że trudno o prawdziwą przyjaźń, bo rzeczywiście, nie widziałam w swojem życiu przykładu prawdziwej przyjaźni. — Z opowiadań, a nawet z doświadczenia widzę, że przyjaźń trwa tak długo, dopóki się z sobą przebywa, lub póki nie zostanie zadraśnięta miłość własna, gdy jedno, lub drugie zajdzie, przyjaźń ustaje, zrywa się. — Może mylne i niesprawiedliwe są moje na przyjaźń poglądy, nie wiem.

Chciałabym z kimś na ten temat trochę szerzej pogawędzić, bo jest to jeden z tematów, które mię najwięcej zajmują. — Może któraś z Czytelniczek uważa też ten temat za interesujący i godny, żeby parę słów mu poświęcić?

NASZE SZKOŁY.

Państwowe Seminarjum w Zawierciu.

ZIMA.

Szła poważna, majestatyczna, ubrana w śnieżną szatę gwiazd opalowych...

Szła dumna, groźna, cudnie piękna, w kryształowym djademie na głowie...

Szła sroga królowa Zima...

I choć piękna, szła nieubłagana, głucha na ludzkie bóle i jęki.

A gdzie przeszła, znikały różnobarwne kwiaty, milkł radosny śpiew ptactwa i pozostawał jeno na jej drodze biały kobierzec, co skrzył się i mienił barwami tęczy w złotych promieniach słońca. Tuliły się do tego kobierca trawy powiędłe, maleńkie stokrótki i bratki, tulił się ptak zabłąkany, a czasem nieszczęśliwy, złamany życiem człowiek. Wtedy litowała się nad biednym człowiekiem królowa Zima. W delikatne, jak z płatków róży, dłonie brała jego rozpaloną głowę; głosem cichym, tajemniczym nuciła mu czarodziejską pieśń o szczęściu; przed oczyma snuła ukochane wizje radosnych chwil przeszłości. A potem trzymając za ręce, prowadziła do swej krainy wyśnionej, zaziemskiej.

I szła dalej w triumfalnym pochodzie...

Czasem zatrzymała się przy jakiejś samotnie na rozdrożu stojącej brzozie i stroiła ją fantastycznie w ozdobne pióropusze...

I szła tak królowa Zima ze swym orszakiem paziów — śnieżków na czele, a śladami jej postępował wszechwładny król Mróz i dłonią artysty zdobił dzieło swej poprzedniczki, kwiatami marzeń niewyśnionych, baśni przecudnych. I niestrudzenie budował dla królowej w szarych godzinach zmierzchu warowne zamki na lodzie, pałace z kryształowych sopli...

Nina Miodyńska.

SPROSTOWANIE BŁĘDÓW Z Nr. 2.

Str. 30 w. 14 od dołu, szpalta I.: zamiast: pozostaje ciepło, ma być: powstaje ciepło.

Str. 30 w. 15 od góry, szpalta II.: zamiast czary ma być: czasy.

Str. 30 w. 17 od góry, szpalta II.: opuszczono po „ze mnie", nauczyło mnie.

Str. 30 odnośnik [1]): zamiast: Weyrach ma być: Weyrauch.

REBUS
(ułożyła Z. Hryniewiecka).



TREŚĆ Nr. 3-go.

str.
Siła nasza 37
Włodzimierz Ogińczyk Godziszewski: Matka Boska Gromniczna 38
B. Świtycz: Konstanty Laszczka 39
W. D.: W pracowni rzeźbiarza 41
S. Al.: Jeden z problemów twórczości Żeromskiego 42
Marja Dunin-Kozicka: Nieziemska Idylla . . 44
Marja Reuttówna: Maryjka 46
J. P.: Ku czci Marji 48
Marja Dynowska: Zwyczaje zapustne w dawnej Polsce 49
R. Łubieńska: Ze świata 50
Wśród książek 50
Od Redakcji 51
Roboty ręczne — Poradnik gospodarczy . . 52
Gawędy przyjacielskie 52
Łamigłówki — Szarady — Nasze szkoły - na okładce

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie

DRUKARNIA-POLSKA

KRAKÓW